Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

R. IV T. 5 15 WRZEŚNIA 1927 Nr. 18

WIADOMOŚCI KATOLICKIE

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY IDEOM I SPRAWOM KATOLICKIM

TREŚĆ:

KRAKÓW

DRUKARNIA „WIADOMOŚCI KATOLICKICH"

Od dnia 1-go stycznia 1927 r. jako dodatek do „Wiadomości Katolickich“

wychodzi

SUMMA FILOZOFICZNA

ŚW. TOMASZA Z AKWINU

(Contra Gentiles)

Dzieło to wiecznie aktualne i świeże, zarówno treścią jak i formą odpowiadające naszym dzisiejszym wymaganiom, jest obok Summy Teologicznej, choć od niej kilka razy mniejsze, wyczerpującem, genjalnem streszczeniem filozofji chrześcijańskiej. Toteż znajdować się powinno w ręku wszystkich katolików, pragnących wgłębić się w najważniejsze zagadnienia obchodzące każdego człowieka i zdać sobie jasno sprawę z podstaw Wiary naszej św. Z tego też powodu rozpoczynamy już teraz druk tłumaczenia tej Summy, by zadośćuczynić tej piekącej potrzebie duszy katolika. Nie przerywamy przez to jednak dalszego intensywnego tłumaczenia i ogłaszania drukiem Summy teologicznej, tak, że drugi jej tom mamy gotowy i ukaże się za parę miesięcy.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

DUCHOWY TRIUMF POLSKI.

Zacięty ów wróg cywilizacji i wszelkiego ładu społecznego, opartego na zasadach nietylko chrześcijańskich, ale samego przyrodzonego zdrowego rozsądku, bolszewizm, o którego rzekomym zupełnym upadku i zbliżającym się końcu ciągle słyszymy, przystąpił obecnie do ataku generalnego, już nie na Polskę samą, ale na cały świat cywilizowany. Za hasło posłużyła zręcznie rozdmuchiwana i przedstawiana sprawa dwóch zbrodniarzy pospolitych, którzy przeszło lat sześć temu popełnili celem rabunku mord zwykły niszcząc niewinne życie uczciwego urzędnika. Prawodawstwo amerykańskie, surowe, ale niezmiernie ostrożne, daje obronie wszelką sposobność do wykazania niewinności skazanych, lub nieformalności jakichkolwiek procesu. Z faktu tego skorzystali adwokaci Sacca i Vanzettiego i przez sześć lat zdołali odwlekać wykonanie wyroku. Jasną jest rzeczą, że przez ten czas cały przebywali skazani męki niepewności, za które jednak nikt bezstronny nie może winić amerykańskiego sądownictwa, a raczej z uznaniem podnieść i podkreślić jego aż do skrupulatności dochodzącą ostrożność, by przypadkiem nie popełnić nie dającej się naprawić niesprawiedliwości.

Podnoszono z wielu stron, że sama ta okoliczność długoletniej zwłoki w wykonaniu wyroku i idących za nią psychicznych katuszy skazanych była wystarczającym powodem ich ułaskawienia. Rozważni i bezstronni odpowiadali na to, że przyczyną zwłoki było przecież tylko wykorzystanie do ostatecznych granic ze strony obrony wszelkich możliwości, jakie dawało prawo. I gdyby z tego powodu zbrodniarza ułaskawiono, to przez wyszukiwanie rozmaitych przyczyn i braków prawnych, zmierzających do odwlekania wykonania wyroku, możnaby każdego niemal skazanego wyrwać z pod ręki sprawiedliwości. A jeszcze trudniejszem

stało się stanowisko rządowych czynników decydujących wobec tego, że wszechświatowa anarchja wzięła nagle sprawę Sacco i Vanzetti w swoje ręce i chciała terrorem i zbrodniami wymusić na rządzie ułaskawienie. Z przypadku zwykłej zbrodni uczynili anarchiści sztucznie sprawę polityczną, głosząc, że chodzi tu nie o ukaranie zbrodniarzy, ale o walkę między kapitalizmem a anarchją, o zemstę ustroju kapitalistycznego nad biednemi ofiarami z ludzi.

Znane są wszystkim bezwzględne i z prawdziwie piekielną przewrotnością we wszystkich krajach cywilizowanego świata inscenizowane protesty przeciwko straceniu skazanych. Oganizuje się strajki, zgromadzenia i pochody, wybuchają bomby, giną dziesiątki a może i setki niewinnych, pada mnóstwo rannych, niszczy się mienie publiczne i prywatne, plugawi się to, co społeczeństwu najdroższe. Wystarczy wspomieć ohydną rewoltę anarchistów w Paryżu, gdzie nietylko wyrządzono szkody na wiele miljonów, ale zbeszczeszczono jedną z największych świętości narodowych, bo grób nieznanego żołnierza. Anarchiści świata całego skrzyknęli się, oczywiście pod moralną wodzą międzynarodówki moskiewskiej, do otwartej, bezwzględnej i bezczelnością a dzikością przewyższającej wszystko, co dotychczas znane w historji, walki z ładem, cywilizacją i etyką — i to pod bezwstydnie przybranem hasłem sprawiedliwości i obrony rzekomej uciśnionych.

I z niezmierną ulgą i radością świadkami jesteśmy faktu, podnoszonego ogólnie przez prasę światową, że Polska w tych demonstrancjach anarchistycznych prawie, że zupełnie nie brała udziału. Jestto dowodem, że u nas choroba anarchizmu mimo bezpośredniego sąsiedztwa ze samem źródłem tej zarazy nie wniknęła w narodowy organizm. A miejmy nadzieję, i błagajmy ciągle o to Boga i naszą królowę Marję, że i nadal naród nasz dawać będzie dowody tego zdrowia moralnego, a także i taktu wobec wielkiego narodu amerykańskiego, któremu Polska tak niezmiernie wiele zawdzięcza i z którym łączą ją od początku istnienia Stanów Zjednoczonych tak głębokie i serdeczne stosunki.

Pamiętać trzeba, że atak i paroksyzm obecny bolszewizmu i anarchji nie skończył się bynajmniej ze straceniem obu zbrodniarzy, owszem zuchwalstwo i bezczelność owych „obrońców pokrzywdzonych“ przechodzi wszelkie granice. Ostatnie chwile straconych, którzy zeszli z tego świata nie pogodziwszy

się z Bogiem i odepchnąwszy wszelkie prośby i usiłowania kapelana więziennego, kapłana katolickiego, pragnącego nakłonić ich do spowiedzi świętej, muszą każdego katolika przejąć zgrozą i niezmierną boleścią. Szatan i tu odniósł zwycięstwo, przynajmniej zewnętrznie — bo jednak mimo wszystko nie wolno twierdzić, że potępieni oni zostali na wieki i że Bóg w ostatniej chwili nie dał im jeszcze łaski nawrócenia. Ale zewnętrznie rzecz biorąc, okropna śmierć obu skazańców czyni ich godnymi przestawicielami bezbożnego materjalistycznego anarchizmu. Już teraz elementy społeczne, występujące z taką zajadłością w całej sprawie, oświadczają, że Sacco i Vanzetti będą hasłem, koło którego grupować się będą w walce z kapitalistycznym ustrojem społecznym.

Sprawa powyższa już sama w sobie mieści dużo momentów, które oburzyć w wysokim stopniu muszą każdego człowieka patrzącego na nią bezstronnie. Ale potworność jej występuje z niesłychaną jaskrawością, gdy rzucimy okiem na tło, na jakiem się ono rozgrywa. Oto na jednym krańcu świata grasuje z piekielną bezwzględnością na trupie carskiej Rosji i cesarskich Chin bolszewja, mordując w najbardziej wyrafinowany sposób miljony ludzi zupełnie niewinnych, owszem najzacniejszych, zamykając bez sądu do najokropniejszych więzień, gdzie nieszczęśliwych a zupełnie niewinnych, poddaje się miesiące i lata okropnym torturom i straszy się ich z bezczelnem naigrawaniem się egzekucją, mogącą spaść na nich niespodziewanie o każdej godzinie dnia, czy nocy i nadto morduje się ich niespodziewanie, kulą w tył głowy. Walczy się w krajach tych z wszystkiem, co wzniosłe i szlachetne, a z szczególną zaciekłością z Bogiem i Jego Kościołem. A na drugim krańcu świata Meksyk — gdzie w zażartej walce z Kościołem anarchiści odtwarzają czasy Neronów i gdzie kapłani, ścigani i mordowani, ukrywać się muszą i po najtajniejszych zaułkach składają Ofiarę najświętszą i spełniają funkcje kapłańskie z narażeniem życia. I giną miljony najszlachetniejszych i szaleje najstraszniejsza tyranja, — a tłumy obrońców Sacca i Vanzettiego milczą. Owszem na pogrzebie albo raczej przy spaleniu zwłok obu straconych zbrodniarzy miss Mary Donovan, sekretarka „komitetu obrony Sacca i Vanzettiego“, w pełnej goryczy mowie nazwała obu tych ludzi „ofiarami jednej z najczarniejszych

zbrodni w historji ludzkości". I to miała czoło powiedzieć w obliczu zbrodni bolszewickich i meksykańskich.

Ale co dziwniejsze i boleśniejsze, że ta fala zaślepienia i utraty zdolności sądu wzniosła się daleko ponad męty anarchistyczne i ogarnęła wielu z oświeconych i etycznych warstw społeczeństwa. Prasa światowa, nawet tak zwana „poważna", stanęła licznie po stronie obu skazanych, a takie londyńskie „Times" umieściły opinję, idącą tak daleko, że podającą w wątpliwość nawet samą słuszność wyroku sądów amerykańskich.

I uderzyć musi fakt, że cała ta prasa przychylna sprawie Sacca i Vanzettiego należy do różnych kierunków politycznych, często bardzo wrogo się zwalczających. Pytają się tedy ludzie bezstronni i dobrej woli ze zdumieniem, skąd ta dziwna zgodność u ludzi w różnych i dalekich od siebie żyjących krajach często nienawidzących się i zwalczających? Czyż nie musi być poza tem jakaś ukryta ręka, która przemożnym swym wpływem pokierować umie sprzecznemi nawet między sobą elementami i razem je złączyć we wspólnych szeregach, w walce — przeciw komu? Kto jest ta ręka?

Odpowiedź na te tak tajemnicze pytania istnieje i jest ona prosta, jasna, a znana już Ojcom Kościoła. Bo ręka ta i jej działanie i wpływ, znane już były dawno i wtedy, kiedy potrafiła złączyć i do wspólnej walki zszeregować nienawidzących się faryzeuszów i saduceuszów, Piłata i Heroda, Żydów i Rzymian. Ręka ta siejąc ciągle między ludźmi nienawiść, mordy i walki, szczując jednych na drugich, wymyślając i kopiąc coraz to nowe przepaście między ludźmi, różnice ideowe, społeczne, narodowe, rozpętując między nimi namiętne żywiołowe walki, potrafi jednak wszystkie te żywioły złączyć i zjednoczyć, gdy chodzi o ową najważniejszą walkę, którą ręka ta toczy, o walkę z Bogiem i Jego Kościołem.

Ów odwieczny wróg Boga i ludzkości łączy i teraz bolszewję z Meksykiem, anarchistów i socjalistów z liberałami i masonami, a łączy na to, by podminować obecny ustrój społeczny, zbudowany na chrześcijaństwie. Sprawa Sacca i Vanziettiego to tylko jeden z etapów tej walki, którą widzimy poprzez całą historję ludzkości, a zwłaszcza chrześcijaństwa, to tylko jedno z ogniw, które ma spajać wrogie między sobą elementy, by je skierować do wspólnej walki.

Swiadomie u jednych, półświadomie u drugich, naród polski odczuł i zrozumiał, dzięki Bogu Najwyższemu, właściwe znaczenie sprawy Sacca i Vanzettiego i pokazał, że dusza naszego narodu jest nawskroś chrześcijańska.

Czuwajmy, działajmy i módlmy się, by naród nasz utrzymał się w tym nastroju i nie dał się zbałamucić coraz to gwałtowniej rosnącej agitacji. U nas, którzy bezpośrednio patrzymy na mordy bolszewickie i którzy straciliśmy w nich tylu nam drogich i bliskich, cała ta agitacja o sprawę Sacca i Vanziettiego wywołać musi tylko oburzenie i pogardę — i zdziwienie nad płytkością i brakiem poznania etycznego u wielu tak zwanych cywilizowanych społeczeństw.

NARODOWA FRANCUSKA PIELGRZYMKA DO LOURDES.

Jak corocznie zebrały się w końcu sierpnia 55 raz z rzędu w pielgrzymce narodowej tysiące katolików z wszystkich stron Francji, oraz setki i setki chorych i niedołężnych, którzy wypróbowawszy wszelkie środki, jakiemi rozporządza nauka, przychodzą do Niepokalanej Dziewicy błagać o ulgę w boleściach, o uleczenie z cierpień.

Ta 55 pielgrzymka narodowa do Lourdes wykazuje liczbę pielgrzymów i chorych, żywą wiarę duszy narodu, gorącą miłość Francji dla Matki Najświętszej.

Z każdego główniejszego miasta wychodzą do Lourdes specjalne pociągi, — ogółem jest ich ośmnaście — pociągów pełnych chorych i pielgrzymów. Każdy z nich ma swe własne barwy. Z Paryża wyszły pociągi żółty, fjoletowy i biały, w którym umieszczono chorych. Pociąg niebieski wyszedł z Verdun, pociąg biało fioletowy z Chalons, biało różowy z Laval, biało niebieski z Tourcoing, niebiesko czerwony z Nicei, niebiesko różowy z Bordeaux, pomarańczowy z Orleans i t. d.

Przy wyjeździe odbywały się na wszystkich stacjach wzruszające sceny, siostry, dobrowolni tragarze chorych, lekarze wysilali się w staraniach, by chorym, wśród których byli i bardzo ciężko chorzy, przynieść ulgę w trudach długiej podróży. W każdym pociągu odmawia się różaniec, litanję do Matki Boskiej, dusze wyrywają się do Lourdes i odczuwają już naprzód radości duchowe krótkiego pobytu u stóp groty.

Lourdes, już przepełnione pielgrzymami, przygotowało wszystko, by przyjąć narodową pielgrzymkę. Zakonnice i zakonnicy, szpitale i wierni wysilali się by przyrządzić odpowiednie pomieszczenie dla licznych chorych przedewszystkiem, a także dla tysięcy pielgrzymów.

Do pracujących już dobrowolnych tragarzy chorych przyłączyli się nowi. W ten sposób przyjązd pielgrzymów mógł się odbyć w największym porządku.

Za przybyciem każdego pociągu przyjmowano chorych z największą miłością i przewożono ich do wyznaczonych miejsc, gdzie mogli się po-

krzepić i odpocząć. Pielgrzymi rozproszyli się po mieście i składali pierwszą swą wizytę w grocie.

W grocie, w bazylice wyższej i bazylice różańca nieustannie następują po sobie Msze św. Koło skały, gdzie rozdaje się Komunję św. chorym i przed wielkiem cudownem źródłem, największy jest ruch. Praca, której dokonują pełni niezwykłego poświęcenia dobrowolni tragarze chorych jest zdumiewająca i wprost nieprawdopodobna. W kilku godzinach potrafią oni zanurzyć w sadzawce tysiąc chorych. To praca niezmiernie ciężka, cud miłości bliźniego, trzeba potem tym wszystkim chorym po Komunji św. przynieść śniadanie, gdyż szpitale są zbyt odległe, by ich tam przenosić, ale miłość zwycięża wszystkie trudności.

Obliczono że w procesji eucharystycznej wzięło udział około 40 tysięcy osób. Niezmiernie licznych chorych ustawiono wzdłuż boków długiego placu. Chorzy się modlą, do ich modlitw przyłączają się modlitwy krewnych, którzy im towarzyszą, i wiernych współczujących w ich cierpieniach. Z olbrzymiego tłumu wznoszą się uroczyste majestatyczne pieśni ku czci N. Panny, Ave Maria, Ave Maris Stella, Laudate, i kruszą serca. Słychać narzecza wszystkich zakątków Francji, głosy mężczyzn kobiet i dzieci, głos całej Francji katolickiej, która wypowiada swą miłość ku Marji.

Przed utworzeniem procesji przemawia ks. Delattre do tłumu wiernych, zebranych przed grotą i poleca im żarliwą modlitwę. Rozwija się procesja, która wychodząc z groty i przechodząc koło dworca kolejowego z Pau udaje się na plac przed Bazylikę Różańca, gdzie czekają chorzy.

Orszak towarzyszący N. Sakramentowi, niesionemu przez biskupa z Verdun, jest wspaniały i królewski, 800 Noelistów z swymi chorągwiami, 50 piechoty, 40 marynarzy ze wszystkich portów wojskowych, na których czele idzie generał kapelan ks. Revel, delegat świeżo przez Ojca św. mianowanego inspektora apostolskiego floty francuskiej, mons. Simeona, przed samym N. Sakramentem postępują niezliczeni kapłani w komżach, — jest ich około tysiąc dwieście, — następnie biskupi, których z tą pielrzymką przybyło jedenastu, wszyscy w mitrach i z pastorałami. Tysiące wiernych bierze udział w procesji, pięć tysięcy mężczyzn modli się z różańcem w ręku, przed nimi idą skauci katoliccy, stowarzyszenia młodzieży katolickiej, a szczególną uwagę zwraca duża grupa żołnierzy i marynarzy. Procesja przybywa na plac gdzie na noszach ustawiono chorych, tłum cały pada na kolana modląc się głośno o cud, kapłan z Najświętszym Sakramentem zatrzymuje się przed każdym chorym i błogosławi każdego z osobna. Niema w tych tłumach nikogo, któregoby nie ogarnęło głębokie wzruszenie.

Wieczorem rozwija się charakterystyczna procesja z pochodniami. Widok był doprawdę fantastyczny. Najpierw pojedyncze światła ukazały się w grocie, potem zabłysło tysiąc świateł, potem 2000, dalej 5000, dalej 10.000 — wreszcie ukazało się niezliczone morze świateł. Jarzy się cała bazylika i statua N. Panny, która stoi naprzeciwko. Pielgrzymi ustawiają się prowincjami i miastami, za przeźroczami świetlnemi, które są centrami zbiórek.

Na dany znak procesja rozpoczyna pochód, wychodząc z groty, przechodząc mniej więcej tą samą drogą co ranna procesja eucharystyczna. Gdy

jej początek przybywa do bazyliki różańcowej, koniec jest jeszcze w grocie, i tak rzędy po pięć i 10 osób suną na przestrzeni trzech kilometrów. Nagle potężny głos wydobywa się z tego wielotysięcznego tłumu — śpiewają wszyscy Credo, poważnie, porywająco, niepokonanie. Wspaniałym tym aktem wiary kończy się ten dzień triumfalny.

Noc w Lourdes pełna jest ruchu. Wielka ilość pielgrzymów udaje się na Mszę św. która się odprawia o północy w Bazylice Różańca. Wystawiono N. Sakrament już o 8 wieczór, adoracja trwała noc całą — zmęczenie i perspektywa spędzenia całej następnej nocy w wagonie nie odstraszało pątników. Tak samo w Grocie trwa adoracja, wśród przejmującego milczenia nocy, tylko co godzina gdy rozbrzmiewają dzwony, zrywa się pieśń rozmodlonych i adorujących, *Ave*...

Ile cudów i łask Matka Najświętsza rozdała, tego nigdy się nie dojdzie, głośnemi jednak i powszechnie wiadomymi stały się dwa. Pierwszym cudownie uzdrowionym jest pan Berthet, młody człowiek, ranny na wielkiej wojnie, w Syrji w r. 1921 — Rana jego roztworzyła się na nowo, na krzyżach, a polegała na ropiącym otworze w kształcie litery M, przyczem największa odnoga tej litery miała około dwudziestu centymetrów długości. Główny wrzód był głęboki na ośm centymetrów i nieustannie ropiał. Otóż panu Berthet, po powrocie z groty dnia 21 sierpnia, zrobiło się nagle bardzo niedobrze, a za kilka chwil oświadczył chęć wstania i chodzenia. I rzeczywiście wziął udział w procesji eucharystycznej. Lekarze, którzy go bardzo długo badali dnia 22 sierpnia, skonstatowali, że główna rana w oczach się goi i zasklepia szybko. Faktem jest, że w ciągu 36 godzin nastąpiła niezwykła zmiana powierzchni rany i że wobec tego uleczenia nauka stoi bezradna. Pan Berthet stał się przedmiotem nieopisanej owacji tłumu pątników.

Drugą osobą uzdrowioną, a przynajmniej znacznie lepiej się mającą jest siostra Marja Józefa od Krzyża, zakonnica zgromadzenia Saint Agnan w Orleans. Ma ona lat 25, chorowała według świadectw lekarskich na gruźlicze zapalenie otrzewnej. Przybyła ona z domu, do którego ją z klasztoru odesłano, rozciągnięta na noszach i prawdziwe przeszła podczas podróży męczeństwo. Po zanurzeniu w sadzawce, oświadczyła, że jest uzdrowiona. Zaprowadzono ją do biura sprawdzań. Trzej lekarze specjaliści skonstatowali, że spuchnięcie znikło, suknie jej nagle znacznie za obszerne, opadają do ziemi. Kilka chwil temu nie mogła wogóle stanąć — obecnie może swobodnie chodzić i żąda pożywienia.

W Biurze Sprawdzań ruch ogromny. Biskup z Lourdes, Mgr. Schepfer, o którego nagłym zgonie dzienniki doniosły w ostatnich dniach, przybył do Biura, by powinszować i podziękować obecnym tam lekarzom. Wraz z pielgrzymką przybyło 350 lekarzy, a prócz tego przybyli i lekarze zagraniczni np. ks. Izart, benedyktyn angielski i dr. May, sława lekarska w Chinach.

Poza innymi jest prawdziwym i wielkim cudem — jak to dobrze czują wszyscy — widok tych tłumów dusz odrodzonych w falach zbawczej łaski. Wieczorem przyłącza się do pątników tysiące turystów. Modlą się oni ze wszystkimi a niektórzy może modlą się wbrew sobie samym. Choć obojętni to jednak zalani atmosferą nadprzyrodzoną, nie przybyli daremnie do miej-

sca w którym podoba się Szafarce Łask Wszelkich ze szczególną hojnością te łaski rozlewać.

Piątego dnia rozjeżdża się pielgrzymka. „Biały pociąg" zabiera ze sobą wiele cierpień nieuleczonych, ale mimo to wydaje się, że widać na twarzach więcej nadzieji, dusze zostały napełnione nowemi siłami. Nie na darmo powtarzało tyle tysięcy głosów tyle razy zawsze tę samą prośbę „Panie oto którego miłujesz, choruje". Choć cierpienie pozostało, jednak zrozumiane jest lepiej. Pociągi unoszą tysiące a spotykają w drodze nowe tysiące, (między innemi naszą maleńką pielgrzymkę śląską, złożoną z 250 kilku członków), które znowu biegną do stóp Matki Najświętszej.

OSTATNIE SŁOWA ŚW. TERESY OD DZIECIĄTKA JEZUS.

Matka Agnieszka od Jezusa ogłosiła obecnie dziennik, w którym podaje ostatnie rozmowy swej siostry, św. Teresy od Dzieciątka Jezus, ostatnie słowa pochwycone z jej ust podczas ostatnich pięciu miesięcy jej życia, od 1-go maja do dnia 30-go września, dnia jej świętej śmierci. Kilka z tych rozmów już ogłoszono, ale w nieco zmienionej formie, tak celem dostosowania ich do tekstu, jak i dlatego, że zebrano je w sposób nie dość ścisły. Oto mamy nareszcie te święte zwierzenia w ich autentycznej czystości; oto mamy je teraz takiemi, jakiemi wytrysły w całej swobodzie w chwilach poufnych zwierzeń.

Wydawczyni wstrzymała się od ich naruszenia, nawet od dodania jakichkolwiek objaśnień, ograniczyła się tylko z godną uznania delikatnością, do niezbędnych przypisków, umożliwiających zrozumienie tekstu.

Jest to testament Świętej, uzupełnienie jej autobiografji. Jest to jakby złota szkatulka, zawierająca relikwje jej duszy, a ten duchowy relikwjarz, bezcennej wartości, góruje nad wszystkiemi innemi.

W ciągu tych ostatnich miesięcy Święta rzeczywiście dopala się, wyniszcza się w miłości, w cierpliwości, w pokorze; mała ofiara Miłości pełnej miłosierdzia, pochłaniana przez ofiarne płomienie, roztacza swe najcenniejsze wonie.

Bliska już wymknięcia się ze swego więzienia, z tego ciała „które zawsze jej przeszkadzało", Teresa od Dzieciątka Jezus w swobodnych wynurzeniach swego serca z siostrą swą Pauliną, wydobywa najszczersze, napiękniejsze tony. Jest to śpiew łabędzi.

Zawsze rozkochana w prawdzie, nigdy nie była tak szczerą. Nie przeceniając, ale i nie poniżając siebie, ukazuje się taką, jaką jest w obliczu Boga.

Pod pióro kreślące szkice autobiograficzne w „Dziejach duszy", mimo wszystko, mógł się wśliznąć jakiś ślad troski o formę literacką. Ale tu, na tych kartkach, gdzie jej siostra stara się o dosłowne powtórzenie wszystkiego, niema już ani cienia sztuki, tylko sama czysta prawda.

Dopuszczeni do świętej poufałości dni ostatnich, chwil ostatnich, przez szczególną łaskę, za którą nie możemy okazać dostatecznej wdzięczności Matce Agnieszce, dzielimy z nią szczęście uprzywilejowanej po-

wiernicy. Razem z nią odczuwamy każde uderzenie bohaterskiego serca Świętej, czytamy w tej duszy, jak w otwartej księdze, przejmujemy jej tajemnice, idziemy za nią w jej wstępowaniu ku niebu, i ani jedno uderzenie skrzydeł gołębicy, której więzy się rozluźniają i która wzbija się do lotu, nie może już ujść naszej uwagi.

Jest to męczeństwo młodej męczenniczki, wewnętrzne męczeństwo męczenniczki miłości, które się rozwija przed naszemi oczyma, śledzone bacznie przez przenikliwego świadka, podającego nam swe widzenia w natychmiastowych, jakby migawkowych zdjęciach. Powiedzmy raczej, że sama bohaterka, odpowiadając z prostotą na pytania swej siostry, opisuje nam wszyskie fazy swej ostatniej walki i odsłaniając aż do dna swą duszę, objawia ją nam ostatecznie w zdumiewającym skrócie.

Novissima verba — *to streszczenie* Dziejów Duszy, *to autobiografja skoncentrowana i pogłębiona. Mała ta książeczka stanie się brewiarzem niezliczonych przyjaciół świętej Teresy, którzy nie przestaną nad nią rozmyślać i upajać się jej niewypowiedzianym urokiem.*

Ostatnie słowa Świętej zebrane były w czysto chronologicznym porządku, trzeba było wszystkie te rozsypane rysy zebrać, dla wytworzenia z nich syntezy, dla połączenia ich w całość. Któż mógł się tego podjąć? Jedynie tylko Matka Agnieszka, która, według zdania samej małej Teresy, znała swą siostrę „aż do najtajniejszych zakątków jej duszy", była do tego zdolną, i jak Celina dała nam artystyczny i wierny obraz jej fizjonomji, tak znów Paulina tylko mogła dać nam prawdziwy obraz duszy Świętej. Przypominając jedno z jej miłych powiedzeń, można powiedzieć, że Celina ukazała nam kopertę, zaś Paulina daje nam spojrzeć w sam list.

Nie mogąc ukryć przed sobą naszej zupełnej niemocy, starajmy się przynajmniej zestawić jako szkic kilka rysów. Nieudolny szkic, zapewne, niemniej jednak odbije się w nim kilka promieni zachwycającej piękności oryginału.

Jak wszyscy wiedzą już skądinąd, a tu zobaczą jeszcze lepiej, Teresa od Dzieciątka Jezus była według tajemniczych wyroków Boga przeznaczoną na cierpienie, na niesłychane cierpienie, ukryte pod zewnętrznemi pozorami wesołości, na cierpienie radosne w służbie apostolskiego cierpienia.

„O ja wiem co znaczy cierpienie!" Cierpiała tu na ziemi ogromnie. „Niech dowiedzą się o tem dusze". Od pierwszej swej Komunji, od dnia tego w którym prosiła Boga, by przemienił dla niej w gorycz wszystkie ziemskie pociechy, „odczuwałam nieustannie pragnienie cierpień". Była ona na to stworzoną, dusza jej była zahartowaną w cierpieniu. „Prawda, że pragnęłam dużo cierpieć dla Boga i prawda, że pragnę tego jeszcze". Kilka godzin przed skonaniem wydaje sobie takie świadectwo: „Wszystko co napisałam o mych pragnieniach cierpień, o, to jest bardzo prawdziwe!" A nieco później mówiła do Matki Agnieszki w trwodze przedśmiertnej: „Nigdybym nie wierzyła, że można tyle cierpieć! Nigdy! nigdy! Nie mogę sobie tego inaczej wytłumaczyć, jak przez gwałtowne pragnienie, jakie miałam, by ratować dusze". Czyż nie jest to jakby echem Lamma sabacthani? *Pierś rozdzierana, w ogniu, uciśniona i zatrwożona: „Nie*

mogę oddychać, nie mogę umrzeć". Ale i tu triumfuje jej wola w okrzyku: „Chętnie chcę jeszcze cierpieć". Od czasów wczesnego dzieciństwa „przywiązała się do krzyża, przywarła cała do niego i nigdy od niego nie odejdzie", umiera też w jego ramionach.

Na czem polegało jej cierpienie? Posypała ona solą goryczy wszelkie ziemskie radości. Piła z czary upokorzeń. W niczem nie miała upodobania w sobie. Nosiła w sobie, aż do końca, tortury jej zadającą żmiję pokus przeciwko wierze. Szamotała się w nocy, jak ptak o pręty swej klatki. Cierpi, cierpi i płonie pragnieniem cierpienia ciągle.

Męczeństwo jej jest jednak niezwykłego rodzaju. Cierpieć, — to właśnie podoba się jej w życiu. Znalazła pokój w ciemnościach, radość w cierpieniu. Przez to, czego sama doświadcza, ukrzyżowana i zanurzona w pokoju, przeczuwa ona tajemnicę duszy konającego Chrystusa, promieniejącej u szczytu oglądaniem Boga, zanurzonej w otchłaniach oceanu cierpienia. Była ona najweselszą z Karmelitanek, była wesołą „dla sprawienia innym przyjemności", mając szczególną sympatję dla Teofila Venard, „dlatego, że był zawsze wesoły". Chcecie obrazek jej życia? „Widzicie ten mały kieliszek, zdawałoby się, że jest pełen wybornego likworu; w rzeczywistości nie zażywam nic bardziej gorzkiego!" A jednak mimo to: „Zycie moje nie było gorzkiem, gdyż umiałam wszelką gorycz zamienić na radość i słodycz". Radość czyni ją aż niezdolną do cierpienia.

Dlaczego pragnęła ona cierpień z taką chciwością, z jaką inni pragną przyjemności? Cierpi, ponieważ tak się podoba Bogu: „Byłabym szczęśliwą, gdybym znosiła najcięższe cierpienia, choćby tylko na to, by wywołać Jego uśmiech, choćby tylko jeden". Cierpi, by zasilić rezerwoar zasług, który zwłaszcza po jej śmierci rozleje się deszczem łask powszechnych. — Chcesz więc nabyć wielkich zasług? pyta ją Matka Agnieszka. — „Tak, ale nie dla mnie... dla dusz, dla potrzeb całego Kościoła, wreszcie, by rzucać róże na wszystkich, na sprawiedliwych i grzesznych".

W ostatnich dniach życia cierpienia jej były straszne. „Zdaje mi się, że szatan żądał od Boga pozwolenia na kuszenie mnie strasznemi cierpieniami, by mi zabrakło cierpliwości i wiary". Podstępy złego ducha obróciły się w niwecz. Dzielna zapaśniczka wytrwała do końca. — Ależ ty strasznie cierpisz — mówiono jej. Ona odpowiadała: „Nie, to nie jest straszne. Mała ofiara miłości nie może widzieć nic strasznego w tem, co na nią zsyła Oblubieniec".

Kiedy 24 sierpnia zapytywała ją siostra, czy nie opuszcza ją odwaga, odpowiedziała: „Nie, ale przecież wszystko zmienia się na gorsze. Cierpię strasznie przy każdym oddechu". Po chwili, poprawiając się, z wielkim porywem miłości powiedziała: Nie, nie zmienia się wszystko na gorsze, przeciwnie na lepsze".

Skąd czerpała ona takie męstwo, taką siłę duszy, w organizmie wyczerpanym w ciele wyniszczonem tak, że było ono raczej szkieletem, w rozpadającej się całej istocie? Czy nie jesteś zniechęcona, — zapytywano ją. — „O nie, nie jestem wcale nieszczęśliwą". „Bóg daje mi tylko tyle, ile mogę znieść". A przedtem mówiła: „Bóg daje mi odwagę odpowiednio do moich cierpnień. Czuję, że w tej chwili nie mogłabym

znieść ich więcej, ale nie lękam się, ponieważ wiem, że gdyby się one zwiększyły, On powiększyłby równocześnie i moją odwagę".

Jest ona dumną i mężną, pełną wspaniałomyślności, czuje w sobie duszę rycerską, gotową iść w ogień. Nie obawiała się śmierci, choć ją z tak bliska widziała, szydziła z napaści szatana, ma w sobie męstwo Judyty. Ale nie trzeba się łudzić, ona cierpi, walczy i zwycięża z Bogiem. Od Niego tylko bierze swą siłę. „Widzę całą moją nicość" i widok ten jej nie opuszcza. Wszystkiego oczekuje od Niego. To stanowi właśnie największą jej radość, że nic z siebie samej nie mając, otrzyma wszystko od Boga. U źródła jej bohaterstwa leży przedziwna pokora, ufność niezamącona we Wszechmocnego. „Gdybym dokonała wszystkich prac świętego Pawła, uważałabym się jeszcze za nieużyteczną sługę". A gdzieindziej znów mówi: Gdybym popełniła wszystkie możliwe zbrodnie, miałabym zawsze tę samą ufność, czułabym, że to mnóstwo grzechów jest jakby kroplą wody w gorejącem ognisku".

Wszystkie jej męskie cnoty aż do tej siły, która nie jest jej siłą, ale siłą Boga w niej, przybierają zawsze u małej Teresy czarujący wygląd prostoty i noszą na sobie jedyne w swoim rodzaju piętno duchowego dziecięctwa. Teresa od Dzieciątka Jezus jest cudownem dzieckiem w dziedzinie świętości, i pozostaje niem aż do swej śmierci, i gdyby była żyła, pozostałaby taką do ośmdziesięciu lat. Określiła ona doskonale swą małą drogę w czasie swej ostatniej choroby: „poznać swą nicość, spodziewać się wszystkiego od dobrego Boga, jak małe dziecko spodziewa się wszystkiego od swego ojca, nie troszczyć się o nic, nie zbierać majątku... Być zawsze małym, nie przypisywać sobie cnót, które się wypełnia. Wreszcie nie zniechęcać się swemi błędami, gdyż dzieci często upadają, ale są za małe, by mogły sobie uczynić coś złego".

Do jakiejkolwiek wysokości wzniosła się na szczeblach mistycyzmu, rana z ognistego płomienia otrzymana po ofiarowaniu się miłości pełnej miłosierdzia, wzloty duchowe doświadczone kilkakrotnie, śmierć w ekstazie, cała duchowość Teresy, — zachowuje pełną swobodę, szczerą prostotę, nieokreślony urok dziecięctwa.

Jest ona także pełną przezorności i umiarkowania, przenosząc umartwienie duchowe nad umartwienia krzyża, obawiając się, by przy użyciu narzędzi pokutnych nie wmieszała się natura do natchnień łaski, przekładając ponad inne pokuty te, które pozostawiają wolność duszy, osłaniając dobrowolne ofiary dozwolonemi przyjemnościami w formie darów składanych członkom świętej Rodziny. Ostatnie Rozmowy *określają jasno każdy z tych punktów, często bardzo malowniczo, wykończając w ten sposób tę tak charakterystyczną sylwetkę moralną.*

Delikatność uczuciowości subtelnej i zarazem dziecięcej poddaje Świętej rysy przemiłe i naiwne. „Jakże czułabym się nieszczęśliwą w niebie, gdybym nie mogła tam sprawiać małych przyjemności na ziemi tym, których kocham"!. I jeszcze: „Cieszyłabym się w niebie, gdybyście napisały dla mnie piękne poezje: zdaje mi się, że sprawia to radość świętym, kiedy się ich sławi, gdyż czcząc ich, czci się przez to Boga".

Czyż się więc uważała za świętą i była pewną swego miejsca w nie-

bie? Bez żadnej wątpliwości, ona, która była zawsze tak spragniona prawdy, która szukała tylko prawdy, a która widziała zawsze swą małą nicość, czuła się noszoną w objęciach Boga jak dziecko i nie mogła wątpić, że po śmierci zobaczy Tego, którego nie mogła widzieć na ziemi w ciemnościach wiary: „Przekonacie się, jak sąd mój wypadnie łagodnie, choćby mi Bóg dał małą barę. Dawałam Mu tylko miłość, i On też odda mi tylko miłość“.

Pewność ta ujawnia się z niesłychaną siłą w świadomości misji pośmiertnej. Niepodobna nie uznać tu niebiańskiego natchnienia, i nie wiem gdzieby można w tym samym stopniu znaleźć podobny przykład. Słuchamy, jak powtarza na wszystkie tony to śmiałe twierdzenie: „Wszystko mija na tym śmiertelnym świecie, nawet mała Teresa,.. ale ona powróci“. „Wiem, że moje zadanie dopiero się rozpocznie: moje zadanie budzenia takiej miłości Boga, jaką mam sama, dawanie mej małej drogi duszom. Jeśli pragnienia moje są wysłuchane, moje niebo przejdzie na ziemi aż do końca świata. Tak, chcę znaleść niebo w czynieniu dobrze na ziemi. Nie jest to niemożliwe, gdyż aniołowie choć oglądają Boga, czuwają nad nami. Nie, nie będę mogła zaznać żadnego spoczynku aż do końca świata, i póki będą istnieć dusze potrzebujące ratunku“ (17 lipca).

„Co do mojej misji spełni się wola Boga, tak, jak spełniła się w misji Joanny D'Arc, mimo zawiści ludzkiej“.

Pokazując raz swej siostrze w Rocznikach propagandy wiary, *ustęp mówiący o zjawieniu się jakiejś świętej biało ubranej przy ochrzczonem dziecku, powiedziała do niej: „Później i ja będę tak przychodziła do małych ochrzczonych dzieci“.*

Jest pewną, że manuskrypt jej Życia zostanie wydany dla dobra wielu dusz. „Moja Matko, te kartki uczynią wiele dobrego. Poznają przez nie lepiej słodycz dobrego Boga“. I dodała tonem natchnionym; „Ach, wiem dobrze, cały świat mnie będzie kochał“. Było to 1-go sierpnia 1897 r. Czyż nie jest to na ustach małej Karmelitanki, która umiera nieznaną światu, w głębi swego klasztoru, na ustach zakonnicy tak zawsze pokornej i kochającej prawdę, przepowiednią zadziwiającą i odważę się powiedzieć, nawet natchnioną?

14 września, dwa tygodnie przed śmiercią, przyniesiono jej piękną różę, zerwaną w ogrodzie, a ona rozskubywała ją nad swym krucyfiksem, ocierając każdym listkiem rany Ukrzyżowanego. I gdy płatki spadały z łóżka na podłogę infimerji, odezwała się: „Zbierzcie wszystkie te płatki, moje siostrzyczki, posłużą wam one później do sprawienia wielu radości, nie straćcie żadnego“. Wydawczyni dołączając do tej przepowiedni jej urzeczywistnienie, dodaje, że jeden z tych listków uleczył we wrześniu 1910 roku, z raka na języku, starca, Ferdynanda Aubry, przebywającego w przytułku Siostrzyczek Ubogich w Lisieux.

Rozkoszna ta mała książeczka kończy się opowiadaniem, najszczególniejszem i najwierniejszem, jakie się kiedykolwiek ukazało, o śmierci Świętej: jest ono pełne dziewiczej piękności, przewyższającej wszelkie marzenia poetów, z którego wieje świeżość wiecznej jutrzenki.

Przyjęła ona zwiastunkę z nieba z doskonałą pogodą. Umrzeć czy

wyzdrowieć, czy umrzeć niespodzianie i bez sakramentów: wszystko było jej jedno, zabroniła sobie wyboru, zdając się całkowicie na wolę Boga. Nie obawiała się „Boskiego Złodzieja", ponieważ był to Złodziej umiłowany. W miarę zbliżania się do kresu, czuła zdwojone pragnienie nieba, i pilno jej było już Go ujrzeć. Jednakże wierna swemu duchowi, nie chciała innej śmierci jak Chrystusowej. A On umarł w cierpieniach. „Jest to najpiękniejsza śmierć miłości, jaką kiedykolwiek widziano! Umierać z miłości nie znaczy to umierać w zachwytach,.. wyznaję wam otwarcie, zdaje mi się, że tego właśnie doświadczam". Jednej z zakonnic, która jej mówiła 15-go lipca, że może umrze jutro w święto Matki Boskiej Karmelitańskiej, po Komunji św., odpowiedziała: „O, nie zgadzałoby się to z moją małą drogą, czyżbym z niej zeszła, by umrzeć?... Umrzeć z miłości po Komunji św.! To dla mnie za piękne". Umarła, — bezwątpienia w udręczeniach strasznego bólu, który doszedł do paroksyzmu zniesionego po bohatersku, ale z wzrokiem utkwionym w krucyfiks, po wielkim okrzyku miłości: „Oh! kocham Go.. Mój Boże! ja Cię kocham!!" Nagle opadła łagodnie w tył, — opowiada Matka Agnieszka, z głową nawpół zwieszoną. Dzwonek sali chorych przywołał oddaloną gromadkę klasztorną. „Otwórzcie wszystkie drzwi", powiedziała umierająca. (W sali tej znajduje się troje drzwi).... Słowa te miały w sobie w tej chwili coś uroczystego, i myślę, że w niebie Chrystus Pan powtórzył je do swoich aniołów".

I nastąpiła ekstaza wobec klęczących sióstr. Twarz przybrała z powrotem barwę lilji, oczy zajaśniały, zdawała się być zanurzoną w szczęściu, przechodzącem wszystkie nadzieje. Zdawała się odpowiadać jakiemiś ruchami głowy komuś niewidzialnemu, który zranił ją kilkakrotnie bożą strzałą miłości. Trwało to przez czas jednego „Credo", poczem zamknęła oczy i wydała ostatnie tchnienie. Było to 30 września, o godzinie siódmej i pół roku 1897. Anioł wstąpił do nieba.

Po śmierci zachowała uśmiech, piękność, wdzięk dwunastoletniego dziecka, by przybrać później po wystawieniu w chórze, wygląd majestatyczny.

Jak przepowiedziała, w chwilę jej śmierci, w wieczór dnia ponurego i dżdżystego, rozproszyły się chmury i wkrótce na niebie czystem zabłysły gwiazdy. A podczas całej długiej agonji mnóstwo ptaków, zebranych na drzewie w pobliżu infimerji, śpiewało na całe gardło aż do śmierci Świętej.

Były one wstępem do koncertów anielskich, pozdrawiających ją wchodzącą w przybytki niebieskie, jak i do powszechnych hymnów pochwalnych, słanych przez Kościół aż do jej tronu, oraz błagań i uwielbień całego świata.

Jakiż to los wyraźnie przez Boga kierowany? Jakaż wzniosłość w małości! Jakiż blask wychodzący z ciemności! Jaka potęga w słabości! Teresa od Dzieciątka Jezus jest arcydziełem łaski w pełnem znaczeniu tego słowa, cudem wyższym nad wszelki podziw.

Revue catholique des idées et des faits. J. Schyrgens.

SZCZEGÓŁY O TRZĘSIENIU ZIEMI W PALESTYNIE.

Jak z dzienników wiadomo, 11 lipca popołudniu o godzinie 3-ej, 5 m. nawiedziło Jerozolimę i całą Palestynę silne trzęsienie ziemi. Grzmot podziemny wstrząsnął nagle całem miastem, domy się zachwiały, a jak pisze korespondent „Katholische Kirchenzeitung“, miałem wrażenie, jak gdyby nagły huragan unosił dach i dom cały w powietrze. Wszystkie dachówki zatrzeszczały, również jak i drzwi, książki przewracały się i przeróżne inne przedmioty upadały na podłogę, która zdawała się uciekać z pod nóg. Nie było wątpliwości, było to trzęsienie ziemi, jakiego jeszcze nie zaznałem w Jerozolimie. Całe to zjawisko z towarzyszącym mu hukiem, jakby waliły się wszystkie mury Jerozolimy, trwało zaledwie 10 sekund, ale mnie zdawało się, że były to minuty. Wszyscy uciekali z domów krzycząc z przerażenia i strachu. Szkoda wyrządzona trzęsieniem jest wielka. Wiele domów w mieście i poza miastem zawaliło się, zasypując swoich mieszkańców pyłem i gruzami. Setki domów doznało silnych uszkodzeń i musiano je opuścić, gdyż groziły zawaleniem. Zabrano się żywo do pracy, by pomóc rannym i poszkodowanym, rannych przewieziono do szpitali. Aż do wieczora nie można było zbadać dokładnie stanu szkód. Największemu spustoszeniu uległa góra Oliwna, gdzie zawaliło się kilka domów i trzy osoby zostały zabite. Minaret w pobliżu miejsca Wniebowstąpienia zawalił się, a także ucierpiał bardzo żydowski uniwersytet. Żydzi obliczają szkodę na 3.000 funtów. Najwięcej ucierpiał zakład Augusta-Viktorja na górze Oliwnej. Nie było tu budynku. któryby nie został silnie uszkodzony. Wiele murów zapadło się, a na innych potworzyły się wielkie szczeliny. Zwłaszcza kościół i wieża są mocno uszkodzone. Wieża grozi zawaleniem i trzeba będzie ją rozebrać. Spadające kamienie zabiły jedną rosyjską robotnicę pracującą w owym zakładzie. Ciężkie szkody poniosły również Karmelitanki w pobliżu świętego miejsca Pater-Noster.

W samem mieście między innemi uszkodzony został meczet Omara i chór grecki w kościele Grobu św. Także w łacińskim patrjarchacie wyrządziło trzęsienie ziemi znaczne szkody. W niemieckiej kolonji kilka domów jest poważnie uszkodzonych. Na górze Sion dormitaż ocalał. Natomiast w domu gościnnym św. Pawła, przy bramie damasceńskiej, pokazały się na sklepieniu wielkiej sali jadalnej wzdłuż małe rysy, a na krużgankach spadły ozdoby i porysowały się w dużym stopniu. Nowy budynek obok domu gościnnego w ogrodzie ocalał, tylko mur ogrodowy powalił się z wielkim hukiem.

Prócz tego dochodzą i z dalszych okolic Jerozolimy smutne wieści. W Ramleh 12 osób zostało pogrzebanych lub zabitych, a 25 ranionych, w Lyda było nawet 30 zabitych, a 70 ranionych. Największego wstrząśnienia doznało Nablus, dawne Sichem. Prawie połowa miasta jest zburzona lub uszkodzona. Wszyscy mieszkańcy obozują na wolnem powietrzu. Dotychczas wydobyto z pod gruzów 60 zabitych i przeszło 250 rannych, jednak jeszcze wielu zostało pod gruzami. W Jerycho zawalił się nowy hotel, grzebiąc pod gruzami trzech turystów, podczas gdy wielu innych odniosło rany.

Zato w Jaffie, Tel, Aviv, i Haifie nie odczuto prawie wcale trzęsienia. Ale znów z kraju na wschód od Jordanu dochodzą złe wieści o szkodach wyrządzonych w Amman i Essalt.

W Jerozolimie panowała ogromna panika, gdyż mówiono, że po pierwszem trzęsieniu za 12 do 24 godzin nastąpi drugie. Dlatego wiele ludzi obozowało w nocy na wolnem powietrzu, by w ten sposób zabezpieczyć się przed drugiem trzęsieniem. Jeszcze o 11-ej godz. w nocy zjawiali się przed bramą niemieckiej szkoły żeńskiej Ziemi św. rodzice po swoje córki. Mówiono bowiem, że z Kairu nadszedł telegram, iż o 12-tej godz. w nocy nastąpi drugie trzęsienie ziemi. Żeby ich uspokoić, oddawano im dzieci. Ale hałas przy bramie rozbudził wszystkich i żadna uczenica nie chciała pozostać w łóżku. Pozwolono im udać się do ogrodu, gdzie okryte swemi kołdrami siedziały do godziny dwunastej. Wybiła godzina dwunasta, ale nic się nie działo. Kwadrans po dwunastej ktoś powiedział: Jestem śpiąca, nic się nie dzieje. Wszyscy uspokojeni udali się na spoczynek.

Od ostatniego silnego trzęsienia ziemi w r. 1836, które zniszczyło Safed i Tyberias, nie przeżyło się tak strasznego trzęsienia ziemi jak wczorajsze. I jeszcze ta różnica, że gdy trzęsienie w r. 1836 ograniczyło się tylko do pewnej okolicy, obecne objęło całą Palestynę i nawet sięgało poza jej granice.

Szkody wyrządzone trzęsieniem ziemi w Palestynie są znaczniejsze, niż z początku sądzono. Według oficjalnego doniesienia liczba zabitych w całym kraju sięga 400; szkody materjalne oceniono na ćwierć miljona funtów. Bardzo silnie nawiedzone zostały oprócz Nablus jeszcze Essalt i Amman w zachodniej części kraju Jordan. W Essalt znajduje się 85 zabitych, a kilkuset rannych. Szkody materjalne są wielkie. W Amman 10 zabitych, a 50 rannych. Dom angielskiego konsula jest zupełnie zniszczony. Zaprowadziłoby to za daleko, gdyby się chciało podawać całą listę policyjnych doniesień o stratach w każdej wiosce. Wogóle w całym okręgu Jerozolimskim znajduje się 50 zabitych i tyleż rannych, w południowym okręgu 40 zabitych i przeszło 100 rannych, zwłaszcza w Ramleh i Rydda, w północnym okręgu około 70 zabitych, przeszło 100 rannych, a do tego trzeba jeszcze doliczyć straty z Nablus. W wschodniej części Jordanu około 100 zabitych, zaś nowy most na Jordanie i droga do Amman stały się nie do użycia. Wogóle odnaleziono koło 400 zabitych.

Rząd przysłał 1000 namiotów do Nablus dla bezdomnych. W St. Johann (Ain Karem) jedna z Sióstr różańcowych, która właśnie przybyła w odwiedziny do swej chorej siostry, została wraz ze swemi trzema rodzonemi siostrami w infirmerji zabita.

KONGRES EUCHARYSTYCZNY W CHICAGO NA FILMIE.

Jego Eminencja kardynał Bourne oraz wielu arcybiskupów i biskupów przybyłych w tym tygodniu do Londynu na doroczne Zebranie Hierarchji

kościelnej, przyjęło zaproszenie ujrzenia filmu Eucharystycznego kongresu w Chicago, wystawianego przez „Universe“ w Anglji w sali Filharmonji.

O wspaniałym tym filmie tak się wyraża Artur H. Poller, który go jeszcze widział w Ameryce. Dwie są znamienne cechy tego filmu, rzucające się silnie w oczy, choć nie stanowią one istoty rzeczy. Jedna to olbrzymia skala obrazów, a druga to zadziwiający sposób w jaki zostały ułożone. Nigdy jeszcze tak wielkie zdarzenie — wielkie co do objętości — nie było oddane w tak podziwu godnej serji obrazów. Pierwszy to raz ukazuje się na ekranie równocześnie miljon ludzi. Zasadniczą rzeczą jest to, że można patrzeć na to wielkie zdarzenie w dziejach świata. Jest ono opowiedziane w sposób, w jaki takie rzeczy winny być opowiadane, nietylko przez samo to zdarzenie, ale przez zdarzenia prowadzące do niego. Obraz rozwija się krok za krokiem. Przypomina w tem gobeliny z Bayeux. Ta metoda opowiadania zdarzenia potęguje jego dramatyczność. Jak gobeliny z Bayeux nie jest nigdy teatralny. Jest naturalność dziwna we wszystkiem co się dzieje. Widać miljon katolików i ich niekatolickich przyjaciół, wszystkich, tłoczących się na powitanie przybywających kardynałów i pozdrawiających ich na każdej stacji między N. Jorkiem a Chicago. Wreszcie widać wspaniałe sceny w samem Chicago. Wszędzie panuje naturalność i imponująca siła. Byłem raz w Lourdes i gdy powróciłem, pytano mnie czy widziałem jaki cud. Powiedziałem, że tak. Widziałem ośm delegacyj związków handlowych w Lourdes, którzy pozbawili się swego dziennego zarobku dla odbycia pielgrzymki. W tym filmie widać ten sam rodzaj cudu na zdumiewającą skalę. Nie znalazłem jeszcze nikogo, ktoby nie był zachwycony tym filmem, oraz przedstawionem w nim zdarzeniem. Wśród tak materjalistycznej ludności, jaką jest amerykańska, zwraca uwagę, że właśnie tam przejawiła się wiara w sposób tak potężny i cudowny. Film tego rodzaju musi zastanowić niewierzącego, gdy widzi on miljon dzielnego pracującego ludu, składającego hołd swemu Stwórcy.

Niezmiernie interesującą jest muzyka ilustrująca wystawianie tego filmu. Przygotował je specjalnie J. Foncett, i organista Montell, z londyńskiego oratorjum. Symfonje Haydna zastosowano w szerokiem ujęciu przy obrazach przedstawiających ruch, a marsze religijne Saint Saens'a i innych przy pochodach i procesjach. W jednem miejscu, gdy widzi się wszystkich kardynałów idących w całej wspaniałości w procesji, muzyka odgrywa uwerturę z „Meistersingerów”. Różne części liturgicznej muzyki towarzyszą odpowiednim przedstawieniom obrzędów religijnych, dochodząc w „Pange Lingua” do punktu kulminacyjnego podczas wielkiej procesji na wolnem powietrzu.

STARA SŁUŻĄCA OJCA ŚW., która przez całe swe życie służyła wiernie w rodzinie Rattich w Medjolanie, a którą Jego Świątobliwość wezwał do Rzymu w celu utrzymywania w porządku Jego apartamentów, musiała opuścić swoje stanowisko z powodu podeszłego wieku. Papież ofiarował jej spokojne schronienie w pobliżu Watykanu u SS. Miłosierdzia przy szpitalu św. Marty. Teodolinda Banfi, albo Linda, jak ją w rodzinie nazywano, nie miała innego zajęcia prócz wiernego służenia swemu dostojnemu panu. Zakonnicom szwajcarskim, jak donosi „Corriere“ z Medjolanu, zostanie powierzona piecza nad kuchnią papieską.

SKŁAD ŚWIĘTEGO KOLEGJUM. Korzystając ze sposobności mianowania dwóch nowych kardynałów, podajemy zajmujące szczegóły o składzie obecnym świętego kolegjum.

Jak wiadomo Sykstus V ustalił liczbę kardynałów na siedmdziesiąt, ku pamięci starców tworzących radę Mojżesza, ale liczby tej nigdy się w rzeczywistości nie dosięga. Od XVI wieku Innocenty X był jedynym papieżem, który umarł nie zostawiając ani jednego próżnego miejsca w świętem kolegjum. Od czasu ostatniego konsystorza liczba kardynałów wynosi sześćdziesiąt ośm.

Z tych kardynałów sześciu ma tytuł kardynałów-biskupów i zarządza biskupstwami w okolicach Rzymu, tak zwanemi biskupstwami rzymskiemi", pięćdziesięciu dwóch ma tytuł kardynałów-kapłanów, a dziesięciu kardynałów-diakonów.

W istocie wszyscy ci kardynałowie są kapłanami, jak tego wymaga kodeks. Dwunastu z nich nie jest biskupami, chociaż jako kardynałowie noszą infułę, pastorał, krzyż i pierścień, które są oznakami godności biskupiej i mogą odprawiać nabożeństwa pontyfikalne, jak biskupi. Kardynałowie, którzy nie są biskupami, nie mogą wypełniać czynności właściwych tylko biskupom, jak wyświęcanie, namaszczanie na biskupów,. poświęcanie kościołów.

Dziekanem, dla swego wieku i z woli świętego kolegjum, jest oddawna kardynał Vanutelli, który dźwiga pogodnie ciężar swych dziewięćdziesięciu lat. Najmłodszym z kardynałów jest kardynał Ascalesi, arcybiskup Neapolu, którego Benedykt XV mianował kardynałem w r. 1910, gdy miał czterdzieści cztery lat. Dwóch prymasów, których Pius XI zaszczycił purpurą, jest młodszych od niego: Mgr. Van Roey, urodził się 13 stycznia 1874, i Mgr. Hlond 5 czerwca 1881 r. Zatem prymas Polski jest obecnie benjaminkiem świętego kolegjum. Kolegjum kardynalskie liczy jeszcze trzech kardynałów, których mianował jeszcze Leon XIII: są nimi kardynał Vanutelli, dziekan świętego kolegjum, Francisco Nava di Bontife, dawny nuncjusz w Belgji i arcybiskup Catany, i Skrbensky, dawny arcybiskup z Ołomuńca, obecnie chory i przebywający w Czechach. Dwudziestu dwóch z obecnych kardynałów mianował Pius X, ośmnastu tylko Benedykt XV, a dwudziestu pięciu Pius XI, który patrzył na śmierć ośmnastu kardynałów podczas pięciu pierwszych lat swego pontyfikatu.

Dwudziestu sześciu z kardynałów przebywa w Rzymie, gdzie pomagają papieżowi w rządzeniu Kościołem, kierując kongregacjami, które tworzą jakby różne ministerstwa tego rządu, i biorą udział w ich pracach. Inni stoją na czele ważnych diecezyj w różnych krajach świata.

Ze względu na narodowość dzieli się 68 kardynałów w następujący sposób: trzydziestu sześciu z nich jest Włochami, a trzydziestu dwóch należy do innych narodów, mianowicie: 6 Francuzów, 5 Hiszpanów, 4 Niemców, 4 Amerykanów ze Stanów Zjednoczonych, 2 Anglików, 2 Austrjaków, 2 Polaków, 1 Belg, 1 Holender, 1 Węgier, 1 Irlandczyk, 1 Portugalczyk, 1 Brazylijczyk, i 1 Czechosłowak (kard. Skrbensky).

Przewaga elementu włoskiego w łonie świętego kollegjum była dawniej o wiele większą niż jest obecnie. Podczas śmierci Grzegorza XVI, w r. 1846 było tylko ośmiu kardynałów cudzoziemców. W czasie następnego pontyfikatu rozszerzono ich liczbę i gdy umierał Pius IX w r. 1878, dwudziestu pięciu obcych kardynałów wchodziło w skład świętego kolegjum. Leon XIII powiększył jeszcze tę liczbę i tak ustaliły się stosunki zachowywane do chwili obecnej.

CUDOWNE UZDROWIENIE W KOŚCIELE W NOWYM YORKU. Z Nowego Yorku donoszą do „Universe , że przy zakończeniu półrocznej nowenny w kościele św. Anny, w której brało udział około 50.000 osób, nastąpiło uzdrowienie dziecka cierpiącego na sparaliżowanie ramienia. Ostatniego dnia nowenny, matka dziecka wychodząc z kościoła zatrzymała się, by oglądnąć rzeczy rozłożone na stole. Dziecko zobaczyło różaniec i ucieszyło się. Wyciągnęło po niego rączkę prawą, to właśnie ramię, które zwisało bezwładnie od czasu urodzenia. Dziecko nazywa się Helena Mahoney. Matka dziecka oświadcza, że lekarze uznali poprzednio chorobę dziecka za beznadziejną.

WIARA I NAUKA.

ETYKA.

Streściwszy tak zwaną teodiceę, to znaczy dział filozofji zajmujący się badaniem zagadnień odnoszących się do istnienia i przymiotów Boga jako początku i celu wszechświata, przystępujemy z koleji do podania zarysu filozoficznej etyki.

Wstęp.

Etyka należy do filozofji praktycznej, gdyż ma kierować działaniem człowieka. Ma ona za przedmiot doskonałość człowieka, działającego z wolnej woli, jest więc filozofją działania ludzkiego. Normuje ona to działanie, lecz nie jest sztuką działania. Wiemy, iż sztuką działania jest roztropność. Etyka zaś bada ostateczne pobudki czynów i ostateczny cel człowieka, a w tym celu musi badać pojęcie dobra i zła moralnego oraz wolną wolę człowieka. Oprócz tego zadaniem etyki jest podanie reguł, które mają określać, kiedy czyn jest moralny, stąd etyka zajmuje się pojęciem prawa i sankcji moralnej.

Materjalnym przedmiotem etyki są więc czyny człowieka, wolnego i świadomego swego działania, formalnym zaś przedmiotem jest stosunek tych działań do prawa moralnego.

Święty Tomasz nie poprzestaje na przyrodzonej filozofji moralności. Doszedłszy do ostatecznego celu człowieka, którym jest cel nadprzyrodzony, buduje uzupełnienie tej filozofji danemi, jakie podaje nam wiara. To uzupełnienie, oparte na objawieniu, stanowić będzie uwieńczenie jego filozofji moralnej.

Cel ostateczny, czyli najwyższe dobro człowieka.

Patrząc na dzieła pracy ludzkiej widzimy, że nie powstały one przypadkowo, lecz kierował niemi duch ludzki, plan twórcy. Cel więc jest w każdej rzeczy pierwszym, gdyż dla celu działamy. Podobnie jest i w dziedzinie etycznej, gdzie cel jest formą czynu etycznego.

Celem ostatecznym jakiegoś bytu jest dobro, które może uzupełnić i napełnić naturę tego bytu, zatem ten cel jest doskonałością dla owego bytu. Każda rzecz z natury pragnie swojej doskonałości, którą jest jej ostateczne, najwyższe dobro.

Człowiek obdarzony rozumem, którym pojmuje dobro najwyższe, bez końca i granic, wolą swoją obejmuje to Dobro nieskończone. Wprawdzie jest szereg dóbr mniejszych i większych na ziemi, ale przeglądając je, człowiek widzi, że żadne z nich nie może mu dać szczęścia stałego, bezwzględnego, nieskończonego. Rozumem dochodzimy do wniosku, że tylko Bóg jest Dobrem absolutnem, zdolnem nasycić wszystkie władze. Boga jednak tu na ziemi objąć nie możemy zupełnie, więc człowiek w swem pragnieniu szczęścia nie może być zupełnie zaspokojony, może tylko zbliżać się do niego przez rozważanie Boga.

Tak więc etyka podaje nam ostateczny cel człowieka, a wskazując nań zajmuje się jako nauka praktyczna środkami do jego osiągnięcia.

Czyny moralne. Dobro i zło.

Etyka opiera się na dwóch czynnikach: na wolności podmiotu i moralnej dobroci czynu. Trzeba więc ustalić, co nazywamy dobrem moralnem czynu. W znaczeniu ontologicznem dobrem, jak wiemy, jest to, co może być przedmiotem pożądania dla jakiegoś bytu.

W etyce chodzi nam o kryterjum dla oceny dobroci czynów ludzkich. Czyny nasze dążą do przedmiotów, które są poza władzami pożądającemi, będą więc dobremi zależnie od dobroci przedmiotu, inaczej mówiąc, od stopnia bytu tego przedmiotu. Przedmioty materjalne mają mniej bytu, a więc mniej dobra niż przedmioty duchowe, zatem czyn dążący do dobra duchowego będzie wyższy.

Czyny moralne powinny prowadzić człowieka do jego doskonałości, do szczęścia. Rozum wskazuje nam jako ostateczny cel naszych czynów szczęście, którem jest oglądanie i posiadanie Boga. Dobrym moralnie będzie więc taki czyn, który nas prowadzi do uzyskania najwyższego Dobra. Złe moralnie czyny, to te, które nas od tego Dobra odwodzą, albo całkiem nas go pozbawiają.

Samo przyrodzone światło rozumu sprawia, że z łatwością odróżniamy, które czyny są dobre, czyli prowadzą do najwyższego Dobra. Ponieważ natura ludzka jest zarazem zwierzęcą i duchową, wszystkie władze muszą być ułożone w pewien porządek, którym ma kierować rozum. Ten porządek pociąga za sobą pozbawienie pewnych dóbr szczegółowych. To, co w porządku ontologicznym jest dobrem, może być złem w porządku moralnym, ponieważ pozbawia człowieka jego Dobra najwyższego.

Prawo moralne. Sumienie.

Reguły działania podaje prawo moralne. Prawo moralne to sąd rozumu o tem, co mamy działać, zgodnie z naszym celem. Prawo moralne ma za zadanie zastosować nasze postępowanie do celu, jaki rozum podaje. Rozum nie tworzy prawa moralnego — on je tylko wykrywa.

W każdym bycie zauważamy jakieś prawo wewnętrzne, które kieruje rozwojem i życiem tego bytu. Jest to prawo naturalne, odnosi się bowiem do natury stworzeń. Mieści się w niem prawo moralne naturalne, którem nazwiemy zbiór pierwszych określeń dobra moralnego, jakie rozum poznaje bezpośrednio ze swej ludzkiej natury.

Rozum mianowicie poznaje bezpośrednio, że ta natura po pierwsze istnieje. Z tego faktu wynika dążność do zachowania jej bytu, obowiązek zachowywania tego bytu. Po drugie, jest ona naturą wegetatywną i zmysłową, stąd wynikają obowiązki odnoszące się do zachowania gatunku, obowiązki odnoszące się do życia rodzinnego. Po trzecie, ta natura jest rozumną i wolną, jest skłonna do szukania przyczyn i kierowania swem życiem. Stąd wynikają obowiązki rozwijania rozumu, ćwiczenia woli, obowiązki względem siebie i innych ludzi. Pod te cztery klasy obowiązków, pochodzących z rozumowego poznania naszej natury, dadzą się podciągnąć wszystkie inne określenia.

Przepisy zebrane pod nazwą prawa naturalnego dyktuje nam wewnętrzny głos sumienia. Pojęcie sumienia w znaczeniu psychologicznem to dostrzeżenie własnego stanu wewnętrznego. W etyce jest to to samo dostrzeżenie, ale takie, któremu towarzyszy sąd o wartości etycznej stanu czy też czynu dostrzeganego. Sumienie jest więc rozumem, wydającym sąd wewnętrzny w każdym z nas o czynach ludzkich. Jest to ciągła kontrola w każdym poszczególnym wypadku. Św. Tomasz mówi, że ten sąd rozumu zawsze obowiązuje, i byle nie było zawinionej niewiadomości, to czyn nawet zły objektywnie, spełniony w przekonaniu, że jest dobry, jest u d nego osobnika etycznie dobry. Lecz obowiązkiem każdego jest wyrobienie sobie prawdziwego sądu.

Prawo naturalne obowiązuje dlatego, że pochodzi ono z prawa wiecznego, prawa Stwórcy. Tak jak byt pochodzi od Stwórcy, tak i normy działania bytu. Prawo cywilne ma swoją wartość tylko o tyle, o ile jest zgodne z prawem naturalnem, a przez nie z prawem wiecznem.

Sankcje.

Św. Tomasz nie uznaje bezpośrednio żadnego obowiązku, żadnej sankcji moralnej dla człowieka, prócz tego, by był doskonałym człowiekiem. Sankcja wynika ze spotkania się porządku moralnego z wolną wolą człowieka, ponieważ wszędzie, gdzie się ustanawia porządek celowości, musi on prowadzić do celu, a uchylać się od tego porządku, to uchylać się od celu.

Etyka jest czemś zupełnie wewnętrznem, gdyż o dobroci naszych czynów stanowi istotnościowo intencja. Sankcje, to jest oddziaływania porządku moralnego, są również wewnętrzne, są niemi mianowicie radość lub wyrzuty. Są to sankcje naturalne, ale subjektywne, i dlatego nie wystarczają.

Sankcje moralne pochodzą od Tego, który jest twórcą prawa moralnego, a więc od Boga. Rozum i wola są władzami duszy, która pojmuje porządek moralny, a tym porządkiem jest porządek boski nad stworzeniem rozumnem i wolnem. Dusza ludzka podpada pod porządek Dobra absolutnego. Jeżeli kieruje się ku temu dobru, znajdzie swój cel i to będzie jej szczęściem. Jeżeli sama odwraca się od Dobra wiecznego, kiedyś, stanąwszy wobec Niego, własną wolą musi od Niego odpaść, niezdolna już do zmiany. To są naturalne sankcje wieczne, wynikające ze stosunku wolnej woli do porządku boskiego. Wszystko, co w człowieku współdziałało w czynach dobrych lub złych, musi znaleźć szczęście lub karę. Takich sankcyj domaga się rozum przyrodzony, a potwierdziła je nauka objawiona, dogmatami o życiu wiecznem, sądzie, piekle i zmartwychwstaniu ciał.

Zasady działania moralnego. Cnoty.

Filozofja moralna jest filozofją praktyczną działania, nie może się więc ograniczyć do poznania ostatecznego celu, dobra i zła moralnego, praw, które mamy zachowywać i sankcyj, jakie z ich zachowania lub niezachowania wynikają, — lecz musi objąć całego człowieka, poznać warunki oraz przeszkody jego działania.

Człowiek jest istotą złożoną z duszy i ciała, a więc i ciało musi podlegać prawom życia moralnego. Główna praca w życiu etycznem polega na

tem, by wyższe władze, to jest rozum i wola, opanowały władze zmysłowe, tak zwane namiętności. Namiętności dzielą się na pożądające i odpychające. Same przez się nie są one ani złe, ani dobre, wartość ich moralna zależy od tego, czy kieruje niemi rozum. Namiętności opanowane pomagają do dobrego, ale to opanowanie ich przez wolę dokonuje się kosztem ciągłej walki. Wola może doprowadzić do wytworzenia stałych skłonności (habitus), i to stałe skierowanie woli do dobrego nazywa się cnotą. Skierowanie woli do złego rodzi nałogi, występki. Cnota zaś to stan, stałe usposobienie dobre w stosunku do własnej natury i do innych rzeczy.

Rozróżniamy cnoty umysłowe i moralne, pierwsze doskonalą rozum, drugie wolę. Niektóre cnoty umysłowe mogą istnieć bez moralnych, ale cnoty moralne nie mogą istnieć bez cnót rozumowych, jakiemi są roztropność i zrozumienie zasad podstawowych. Z drugiej jednak strony roztropność, jako cnota umysłowa, nie może istnieć bez cnót moralnych: siły, sprawiedliwości i umiarkowania, gdyż one usposabiają duszę odpowiednio w samych początkach działania. Bez cnót moralnych człowiek może łatwo ulec namiętnościom, które zaciemniają sąd rozumu.

Cnoty moralne kierują namiętnościami i czynnościami duszy. Rozróżniamy cztery cnoty moralne, ściśle ze sobą spojone: roztropność, sprawiedliwość, wstrzemięźliwość i męstwo. Roztropność łączy ze sobą wszystkie cnoty moralne, bo ona polega na tem, że kieruje naszemi czynami według sądu rozumu. Ona decyduje, gdzie jest tak zwany „złoty środek", na którym właśnie zasadza się cnota. Ten „złoty środek" to stopień, określony przez rozum, jako proporcjonalny środek do zamierzonego celu.

Człowiek cnotliwy to taki, u którego cała istota jest podporządkowana rozumowi, przez cnoty, kierowane roztropnością.

Chodzi jeszcze o to, na czem polega zasługa cnoty, skoro ona staje się łatwą wskutek częstego powtarzania jej aktów. Otóż na to odpowiadają, że zanim się cnoty nabyło, kosztowała ona wiele wysiłków, i w tych uprzednich wysiłkach mieści się jej zasługa późniejsza. To jednak nie jest dobrem określeniem zasługi. Zasługa cnoty pochodzi ze stosunku czynu do jego celu. Im czyny są bardziej zgodne z prawem boskiem, tem są więcej zasługujące, a właśnie wynikiem cnoty doskonałej jest zupełna zgodność całej naszej istoty z Dobrem najwyższem.

Występki sprzeciwiają się porządkowi naszego rozumu, więc są niezgodne z naturą. Praca moralna polega głównie na wyrywaniu złych skłonności przez nabywanie w ich miejsce nawyknień cnotliwych.

Nadprzyrodzony porządek moralny.

Teolog katolicki nie może poprzestać na tej przyrodzonej filozofji moralności. gdyż wie, że Bóg powołał człowieka do wyższego przeznaczenia. Nie można więc pominąć milczeniem systemu św. Tomasza, tej budowy, opartej na zasadach przyrodzonych rozumu, a wznoszącej się ku niebu na prawdach nauki objawionej.

Ponad porządkiem przyrodzonym panuje porządek miłości, porządek łaski, do którego człowiek nie ma prawa z natury. Bóg z własnej dobroci

powołał człowieka do nadprzyrodzonego porządku, to jest do uczestniczenia w życiu i naturze Boga.

Wobec tego celem ostatecznym człowieka jest już nietylko Bóg poznany rozumem i podziwiany w dziełach stworzonych, ale Bóg, którego mamy oglądać twarzą w twarz, to znaczy bezpośrednio, i posiadać Go takiego, jakim jest w swej istotności. To właśnie przekracza możność całej natury stworzonej.

By tedy człowieka wynieść ponad jego naturę, Bóg darzy go nową własnością, łaską, która sprawia, że dusza może żyć i działać w sposób boski. Ta łaska rozszerzy się w wieczności w chwałę i uczyni nas w pewien sposób podobnymi Bogu, zdolnymi do oglądania Go twarzą w twarz.

Łaska poświęcająca przeistacza duszę. Władze duszy wzbogacają wtedy stany nadprzyrodzonych cnót, wlanych przez Boga. Wiara udoskonala rozum, nadzieja i miłość kierują wolą i oddają ją całkowicie Najwyższemu Dobru. Ta miłość sprawia, że człowiek przenosi Boga ponad wszystko, pragnie Go poznawać coraz więcej i kocha Go nietylko w Nim samym, ale i we wszystkiem, co od Niego pochodzi i co się do Niego odnosi. A więc wszystko ma być dla miłości Boga, gdyż Bóg jest początkiem wszystkiego i celem. Cnoty moralne, bez których nie mógłby człowiek wypełnić tego powołania, wstępują w duszę równocześnie z łaską. Cnoty moralne wlane są możnościami działania nadprzyrodzonego, ale nie są władzami. One tylko udoskonalają te władze, nadając ich działaniom charakter nadludzki, nadprzyrodzony, kierują obyczajami ludzkiemi według sądu wiary.

Oprócz tego Bóg sam działa w duszy bezpośrednio. Są to stany tajemnicze, dary Ducha świętego. Te dary udoskonalają władze już wyniesione do stanu nadprzyrodzonego przez cnoty teologiczne. Dary Ducha św. usposabiają duszę do szybkiego dążenia za natchnieniami łaski. Jest siedem tych darów, z których cztery doskonalą rozum, a trzy wolę. Dary te łączy miłość, i kto ma miłość, posiada je koniecznie, gdyż miłość obejmuje wszystkie cnoty moralne, które się w duszy z góry przypuszcza przed darami. Cnoty teologiczne są wprawdzie czemś wyższem, ale dary Ducha św. dają ich pełnię, ponieważ dusza, która jest pod rządami darów, nie działa już sama przez się, lecz Bóg w niej działa, Bóg, który wnika do duszy stworzenia wolnego, nie niszcząc jego wolności.

Gdy dusza odda się Bogu zupełnie, może dojść do kontemplacji mistycznej, o ile Bóg ją do tego powoła. Nie można jej nabyć własnemi siłami, gdyż jest darem Boga dla dusz najwierniejszych, owocem daru mądrości i rozumu, największym rozkwitem łaski, poprzedzającej wieczne życie błogosławionych w obliczu Boga. *Stefanja Szaleska.*

IZAAK NEWTON I JEGO WPŁYW FILOZOFICZNO-RELIGIJNY. C. d.

Wicekanclerza uniwersytetu i deputację senacką wezwano, by się stawili natychmiast przed Wysoką Komisją Dworską w Westminsterze. Senat naznaczył na jednego z ośmiu członków deputacji Newtona. Zanim wyruszono do Londynu, delegacja odbyła posiedzenie, by należycie przygotować swój materjał. Na posiedzeniu tem przedłożono projekt kompromisu, ale wobec

stanowczego i wymownego oporu Newtona projekt ten upadł i deputacja wyjechała do Londynu, by stawić się przed Komisją. Tu spotkała ona się z bardzo ostrem przyjęciem. Na argument deputacji, że nie udzielano żadnego stopnia akademickiego bez odebrania od kandydata uprzednio przysięgi poddańczej, przewodniczący Komisji lord Jeffreys przemówił bardzo ostro do wicekanclerza, innym członkom deputacji, którzy chcieli głos zabrać, nakazał milczenie i polecił im wyjść ze sali. Gdy ich znowu zawołano, otrzymali deputaci surową naganę, Pechella pozbawiono urzędu wicekanclerza i części dochodów, a Newton przegrawszy w ten sposób sprawę, wrócił do domu kończyć tam swoje *Principia.*

O dokończeniu druku tego dzieła donosi mu Halley pod datą 5-go lipca 1687 roku, w którym jako nakładca oznajmia, że sprzedawać się będzie egzemplarz oprawny w cielęcą skórkę po 9 szylingów, z czego księgarze mieli otrzymywać po 5 szylingów rabatu. List ten kończy się zachętą Newtona do dalszej pracy. „Spodziewam się, pisze Halley do niego, że nie będziesz Pan żałował trudów, poniesionych około tej tak chwalebnej książki, która tyle się przyczynia do sławy Pańskiej i narodu, ale raczej rozerwawszy się nieco innemi studjami, zwrócisz się Pan do rozważań, w których doszedłeś do tak wielkich wyników i usiłować będziesz rozwinąć do ostatecznej doskonałości teorję księżyca, co będzie niezmiernie użytecznem dla żeglarstwa i poda materjał do snucia głębokich teoryj“.

Badań i studjów Newton nie porzucił, ale w kilka lat potem przerwała mu je ciężka nerwowa czy psychiczna choroba, której zagadka jeszcze do dziś nie jest całkowicie rozwiązana. Trwała ona w ciągu lat 1692 i 1693, a zasadzała się na bezsenności, tak, że Newton przez dwa tygodnie nie zmrużył oka, rozstroju nerwowym i takim zaniku sił umysłowych, że Newton stał się niezdolny do dalszej pracy. Rozeszła się nawet zagranicą wiadomość, że Newton dostał pomieszania zmysłów. Szczęściem jednak Newton wrócił do zdrowia i do dawnych sił umysłowych, a jak potężne to były siły, świadczą prócz jego intensywnej pracy zawodowej, jako kierownika mennicy państwowej, dwa następujące epizody, bardzo ciekawe.

W czerwcu roku 1696 wezwał sławny matematyk Bernoulli matematyków Europy do rozwiązania dwóch trudnych problemów geometrycznych, dając im na to sześć miesięcy czasu. Oświadczył on, że gdyby po tym terminie nikt z rozwiązaniem nie wystąpił, ogłosi swoje własne rozwiązanie. Jak trudne to były problemy, można wnosić z tego, że przepisane sześć miesięcy upłynęło, a nikt z matematyków rozwiązania nie nadesłał. Bernoulli otrzymał tylko list od Leibnitza, w którym tenże donosi, że zrozumiał te piękne problemy i prosi Bernoulliego o przedłużenie terminu naznaczonego na rozwiązanie. Newton nie wiedział nic o tem wszystkiem i dopiero 29 stycznia 1697 roku wpadły mu w ręce czasopisma z Francji, donoszące o konkursie Bernoulliego. Na drugi już dzień rozwiązanie tych trudnych problemów nadesłał Newton ówczesnemu prezydentowi Royal Society, panu Montague. Wraz Newtonem podał rozwiązanie także Leibnitz i markiz de l'Hopital. Chociaż do rąk Bernoulliego rozwiązanie podane przez Newtona doszło bezimiennie, to jednak było ono tak głębokie i ogólne, że Bernoulli rozpoznał autora „tamquam“ jak mówił „ex ungue leonem“.

Jaskrawszy jeszcze dowód niesłychanej siły umysłu, zachowanej do późnego wieku, mimo wspomnianej wyżej choroby psychicznej, dał Newton w dziewiętnaście lat później, gdy liczył już 74 lat życia. Leibnitz „by, jak pisze do księdza Conti, zbadać puls angielskiego analityka“, przedłożył mu do rozwiązania pewien problem geometryczny, odnoszący się do szeregu krzywych linij, przedstawionych przez jedno równanie. Newton otrzymał ten problem o godz. 5 popołudniu, gdy wracał zmęczony po pracy w mennicy, a już wieczorem tego samego dnia problem był rozwiązany.

Położenie materjalne Newtona mimo całej sławy i czci, jaką mu zjednał jego genjusz naukowy, było bardzo skromne, bo ograniczało się tylko na pensji profesorskiej. Po długich zabiegach przyjaciołom Newtona udało się wreszcie uzyskać dla niego znaczniejsze dochody. Mianowicie w r. 1694, gdy wzmiankowany Montague został zamianowany kanclerzem skarbu, otrzymał Newton urząd w mennicy w Cambridge, zatrzymując katedrę profesora matematyki w Cambridge, z której zrezygnował dopiero w roku 1701, w trzy lata zaś później, bo w roku 1697, objął Newton najwyższe kierownictwo mennicy, z pensją roczną półtora tysiąca funtów.

Niestety fakt ten, chociaż sprowadził istotną zmianę na lepsze w stosunkach materjalnych Newtona, dla nauki okazał się bardzo niepomyślny. Newton mógł wprawdzie rozpocząć teraz życie wygodne, wynająć piękne mieszkanie, otoczyć się pewnym zbytkiem, liczną służbą i przyjmować wykwintne towarzystwo, ale zajęciom swoim w mennicy oddał się z takiem poświęceniem, albo zapamiętaniem, że prace naukowe zarzucił zupełnie. Został on wprawdzie w roku 1703 obrany na rok jeden prezydentem najwyższej angielskiej instytucji naukowej Royal Society, i wybór ten odnawiano corocznie przez 25 lat, zajmował się wydawaniem swoich prac dawniej stworzonych, ale tak ożywcze i nowe dla nauki wskazujący horyzonty genjusz jego zamilkł.

Fakt ten porzucenia nauki dla zajęcia dającego lepsze materjalne dochody, która jak się zdawało, powinna go była pochłonąć i związać na zawsze, jest jednym z ciemnych punktów życia Newtona, i stał się przedmiotem wielu dyskusyj, które ożywiły się na nowo z okazji obecnego jubileuszu Newtona. Niektórzy szli w obronie Newtona tak daleko, że stawiali go właśnie za przykład heroicznego poświęcenia obywatelskiego. Newton, zdaniem ich, dla dobra państwa zdecydował się na tak niezmierną ofiarę, jaką było porzucenie umiłowanej przez siebie pracy naukowej, by oddać się żmudnemu, a wytężającemu i pochłaniającemu zajęciu kierownika mennicy. Zwyciężyło jednak zdanie innych, którzy utrzymują, że ofiara ta nie miała pobudek całkowicie idealnych i nie była potrzebną. Byli bowiem za czasów Newtona tacy, którzy równie dobrze jak on, a może i lepiej, zająćby potrafili jego urząd w mennicy, gdy tymczasem przy warsztacie naukowym nikt godnie zastąpić go nie mógł z niepowetowaną dla nauki stratą. To też ten okres życia Newtona spędzony w Londynie nie przedstawiają dla biografji Newtona głębszego interesu.

C. d. n. *Ks. Feliks Hortyński.*

Od Wydawnictwa.

Prosimy P. T. Prenumeratorów, którzy jeszcze nie uiścili prenumeraty, o łaskawe nadesłanie przedpłaty.

Prenumerata wynosi: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie.

Dla P. T. Nauczycielstwa prenumeratę zniżamy do połowy.

Konto czekowe P. K. O. Nr. 404912.

Red. odp. i Wyd.: Zofja Włodkowa, Kraków, Pędzichów-boczna 5.